

Karol Soroka "Sokół".

© ARCHIWUM WSGRODNE

Urodziłem się w 1923 r. w Supraślu. Gdy przyszli sowieci w 1939 r. byłem harcerzem "dwójki" u księży Salezjanów. "Jedynka" mieściła się w szkole powszechnej. Wtedy jednak zebraliśmy się razem i radziliśmy jak szkodzić wrogowi. Mieliśmy więc: zatruchiwać wodę w studniach, przebijać opony samochodów, zatruchiwać żywność. Sowiet zachowywali się w stosunku do nas niechętnie. Pamiętam gra-
łem z chłopakami na boisku w piłkę, gdy przyjechali ^{samochodem} ~~na furze~~ - jechali po piasek - i zaczęli wybierać spośród nas chłopaków do pomocy. Chadzi ty, chadzi ty - pokazywali kolejno i tylko ja zostałem na końcu. A chodziło o to, że miałem szkolną czapkę. Granatowa i białym paseczki na krzyż. I sowiet mówi: A ciebie nie wezmę. Wybroś etu furażku, to ciebie wezmę. - Tak, że nawet takie drobiazgi były nieprzyjemne.

Sowieci cały czas chodzili i pytali się dzieci, czy gdzie nie ma polskich oficerów. Tak to do nas oni zachowywali się dobrze. Rozmawiali z nami, częstowali cukierkami. Wiele dzieci nauczyli palić papierosy - skręty robione z gazety. Trudno dzieciaki było upilnować, gdy matki często zostały same w domu, bo ich mężowie albo nie wrócili z wojny, albo zostali już wywiezieni w głąb Rosji. Jeszcze na jesieni 1939 r. zostali wywiezieni wszyscy gajowi i leśnicy. Od razu założyli też organizację pionierów. Chodzili z czerwonymi chustami. To właśnie oni powybijali w kościele ewangelickim wszystkie witraże, rozbili pomnik z orłem, poniszczyli napisy. I w dzień robili to wszystko. Byli to przeważnie młodzi chłopcy - białorusini, którzy w Supraślu mieszkali jeszcze od czasów carskich.

Supraśl to wogóle przed wojną to było bogate miasteczko. Tu było 5 fabryk włókienniczych. Oczywiście ich właścicielami byli Niemcy. Taki Zacher na przykład to miał taki pałacyk - teraz jest tam szkoła mechanizacji rolnictwa - a dookoła niego miał jeszcze ze

dwa kilometry lasu. Do pracy przyjeżdżali tu ludzie z Michałowa, z Gródka, z Choroszczy i zostawali tu jak dostali pracę na stałą. Jedną fabrykę odkupił do Niemca Bucholtza Żyd Cytron. Robotnicy dobrze tu zarabiali. Kobiety od 20 do 35 zł tygodniowo a mężczyźni od 30 do 35 zł tygodniowo. Tkacze oczywiście mieli jeszcze więcej.- 40 zł. Był tu też dancing przy ul. Piłsudskiego, aż pod samym lasem. To jak tylko lato nastanie to cały czas bawili się tam.

To małe miasteczko - mówi żona p. Soroki - i o wszystkim mówić nie można. Pamiętam jak zginął "Grom", jak ~~zginął~~ zmarł Zieniewicz Gienek - jego żonie to pomagałam jeszcze robić paczki do więzienia, gdy siedział we Wronkach. Jak ~~zginął~~ zwolnili go, to tyle, że ~~xxx~~ przyjechał do domu i już więcej nie wstał z łóżka. Taki pan Kozłowski również zginął. Wielu akowców stąd siedziało. Córka sąsiadki - Jasia Roszkowska była łączniczką - to już zmarła. ~~Szara~~ Sacharewicz Helena też była łączniczką. Zosia Zynelów - obecnie Rutkowska - była łączniczką. Juchnik z domu a obecnie Audytowska - łączniczka. Pamiętam jak zabito mej koleżanki ojca. Był milicjantem. Posterunek mieścił się w obecnych warsztatach koło Liceum Sztuk Plastycznych. Ich trzech wtedy zabili. To było w nocy z 31 kwietnia na 1 majax 1945 r. Milicjanta Szymańskiego to zabili koło kościoła. Moja siostra to mieszkała tu jeszcze od 1940 r., gdy wyszła za mąż za takiego Choroszewskiego, który był chyba komunistką. Moja rodzina mieszkała wtedy w Brzośtowicy za linią Kierzona i stamtąd przyjechaliśmy tu w 1945 r. I ta moja koleżanka poszła do tego Choroszewskiego i pyta się go, czy może zobaczyć ojca, bo akowcy go zabili. Pozwolił jej na to. Opowiedział też, że jak akowcy weszli do środka, to jej ojciec stał na tle biało-czerwonej flagi i jak dostał serię to krew trysnęła równym ścięciem na tą flagę. I posterunkowy mówi do niej: Ja ci pokażę jak oni leżeli.

Leżeli jak snopki. Trzech. Tej samej nocy zastrzelono jeszcze Budnikównę i Mojsaków dwóch: syna i ojca. To Mojsak ten zginął za to, że jak pili u sąsiadów to mówił, że: Polaków wsiech nada wyrzezać. Te trzy osoby zostały zastrzelone na moście i zrzucone do rzeki. Na Budnikównie to kiecka była zadarta do góry. Widać było, że wyprowadzono ją w nocnej koszuli z domu. To następnego dnia chowano razem 6 czy 7 osób. Cały Supraśl był obstawiony. Pochowano ich razem na cmentarzu katolickim. Po pewnym czasie prawosławni zabrali swoich i pochowali ich na cmentarzu prawosławnym. Tu jeszcze leży Choroszewski i Matejczuk - Sikorskiego ojciec.

Do Supraśla przyjechałam 20 kwietnia 1945 r. Mój szwagier, mąż mojej siostry przyrodniej - córka mego ojca z pierwszego małżeństwa - Feliks Kędyś "Bak" był członkiem AK i którejś nocy siostra przyprowadziła go, jego brata i ich siostrę do nas /był z nimi jeszcze jeden facet/. Ktoś przeprowadził ich przez granicę /linia Curzona - J.K./ która jeszcze nie była dobrze strzeżona i zatrzymali się u nas. Przedzierali się oni do Puszczy Białowieskiej i od nas miał zabrać ich łącznik dalej. ~~xxxxxxxxxxxx~~ W nocy jednak szwagier dostał wysokiej gorączki - około 40 stopni. Następnego dnia on chciał iść, ale mój ojciec nie pozwolił na to: Nie pójdziesz bo padniesz w drodze. Nie ma leków, nie ma lekarza. Tu jest wojna, tu są Sowieci, ścigają. Nigdzie nie pójdziesz. I on został u nas a ci dwaj poszli. Mieli dojść do ~~xxxxx~~ wsi Rożki koło Swisłoczy i stamtąd już dalej mieli przeprowadzić ich łącznicy. Jak doszli - nie wiemy. Natomiast szwagier był u nas cały czas od listopada 1944 r. do kwietnia 1945 r. U nas była stacja pograniczna a mój brat pracował na kolei jako dyżurny ruchu. Miał wtedy dwadzieścia lat. I właśnie on szmuglował z Wileńszczyzny tych wszystkich akowców i księży, którzy stamtąd uciekali. Jeszcze wtedy ta granica nie była taka szczelna i dawało się przekro-

czyć ją bez większych trudności. Wyglądało to w ten sposób, że koło drzewa, które leżało na rampie kryli się ci wszyscy uciekinierzy i czekali na sygnał dany przez mego brata. W tym czasie pociąg był przeszukiwany przez Sowieców, którzy poszukiwali ludzi bez dokumentów repatriacyjnych. Gdy Sowieci odeszli, wówczas brat dawał znać tym ludziom, którzy szybko wskakiwali do wagonów - były to oczywiście wagony towarowe, które brat otwierał im - i ten pociąg już na granicy nie zatrzymywał się.

W tym czasie Sowieci zaczęli już podejrzewać, że coś u nas za dużo ludzi obcych przebywa i zaczęły się nocne obławy. Polaków, którzy nie chcieli wyjeżdżać do Polski ^{siłą} zabierano do Armii Czerwonej. Ojciec więc, który początkowo nie chciał wyjeżdżać, zgodził się jednak na to, gdy do wsi przyjechali agitatorzy z Polski, którzy namawiali ludzi do wyjeżdżania do kraju. Ojciec nie chciał żeby jego synów - miałam dwóch braci - zabrano do wojska, bo przecież jeszcze trwała wojna. Przy okazji wyrabiania dla nas dokumentów repatriacyjnych wyrobiliśmy je i dla mego szwagra - Kędysiax na nazwisko Antoni Matysiak. W drogę ruszyliśmy gdy zmarł ojciec. Został pochowany w Brzostowicy. Gdy dotarliśmy do Węlik daliśmy znać siostrze w Supraślu, że jej mąż jest z nami. On nie mógł pokazać się w Supraślu, bo już był poszukiwany jako akowiec. Więc siostra poszła gdzieś pod Sokółkę, koło Janowa i tam nawiązała łączność z akowcami i oni zabrali szwagra.

Jak już ~~wszystkie~~ było po tej bitwie na Starym Majdanie - wspomina Karol Soroka - to ja ich wszystkich wyprowadziłem z okrażeń. Oddział stanął na drodze Półtoraczka - Cieliczanka i "Murat" nie wiedział, gdzie iść dalej: bo na moście ~~mogą być~~ nad rzeką mogą być Sowieci, droga na Cieliczankę może być zablokowana. Kto zna tę drogę, żeby tak przejść przez rzekę, żeby wody było tylko po kolana? - spytał "Murat". - Ja przeprowadzę wszystkich - zgłosi-

łem się na ochotnika. Gdy wszystkich przeprowadziłem, wówczas "Murat" wezwał mnie i mówi, że daje mi za to kaprała. Zaprowadziłem wtedy oddział aż do Żubrownik, na bagna, gdzie się ukryliśmy. Właśnie wtedy słyszeliśmy strzelaninę na Ogółach, gdy Sowieci zaatakowali zgrupowanie mjr. "Jerzego" na wyspie Konrada.

właśnie wtedy gdy byliście na tym bagnie - wspomina żona p. Soroki - przyjechał do mnie ^{Michał} ~~Antoni~~ Makarewicz. To było latem. Dał mi list, który schowałam na piersiach. Kazał mi się ciepłiej ubrać, bo będziemy szli i będzie dużo komarów. Nałożyłam więc sweterka. Wziął mnie na ramę roweru i tak pojechaliśmy. Za stacją, gdzie Makarewicz zostawił rower w krzakach, skręciliśmy w prawo. Weszliśmy na bagna. Makarewicz kazał mi skakać za nim z kępy na kępę. W końcu natrafiliśmy na niewielką wysepkę. Pod drzewem siedziało 6-ciu czy 7-miu ~~zmęczonych~~ niesamowicie chłopaków. Wśród nich był mój szwagier właśnie. Makarewicz powiedział hasło po czym oddałam tą karteczkę. Trochę porozmawiałam ze szwagrem, który był cały opuchnięty od komarów. Zmierzchało się już gdy ruszyliśmy w drogę powrotną. Wracaliśmy już inną drogą. Gdy wyszliśmy z bagna Makarewicz posadził mnie na ramie roweru i tak dojechaliśmy niemal do samego Supraśla. Miałam wtedy dopiero 16-cie lat. Jak jechaliśmy koło zwirowni na drodze do Jałówki to zobaczyliśmy ~~jak~~ z daleka jak szedł pastuszek, czy ktoś inny. Znał w każdym bądź razie Makarewicza, bo zawołał: ~~Michał~~ Michaaa! Chodź tutaj! Tu leży jakiś człowiek, tylko dać nogi! - O Boże, jak ja wtedy się przestraszyłam. - Aa nic tam. Rozwalili jednego - powiedział do mnie Makarewicz i krzyknął do swego znajomego: Zagrzeb go trochę, zagrzeb. Wtedy to tak było. Tylko ktoś powiedział coś na partyzantów, to zaraz następnej nocy przyszli, 25 gorących na tyłek dali i spokój i cisza już były. Nasza sąsiadka wtedy tak dostała.

Pamiętam jak w Brzostowicy przyszły do nas dwie nauczycielki z Wilna. Przenocowały jakoś u nas i następnego dnia wsiadły po kryjomu do pociągu, ale jak to baby coś tam pokręciły i Sowieci wysadzili je z pociągu. Przychodzi brat do domu i mówi: No szykujcie się. Zamiast do Polski to pojedziemy w drugą stronę. Ach te baby. Nie ma to jednak jak z chłopami. - Na drugi dzień rano poszłam na zwiady. Najpierw na posterunek poszłam, który był po drugiej stronie kolei u naszych znajomych. Ale tam mówią, że ciicho jest, nic się nie dzieje. Poszłam do komisarza, który mieszkał u sąsiadów. Tu też nic nie wiedzieli. Gdzieś o godz. 11-tej patrzę a te dwie nauczycielki idą do nas z powrotem. Mama zdębiała nie wiedziała co się stało. Jednak z nich była pomezana sadzą, rozkudłana takie. Jedna udawała psychicznie chorą, druga niemą. Jak przyszły to pękały ze śmiechu do rozpuchu i następnego dnia pojechały do Polski.

Wielu akowców stąd wyjechało: Neugebauer Wacław, Zimnoch Jan, Nowik, który zastrzelony został. Matejczuk - Białorus - był całym komendantem. Za sowietów w 41 r. był prezesem kooperatywy, Niemcy go nie ruszyli a jak Sowieci znowu przyszli to znowu wypłynął. Jak tylko przyszedłem z lasu do domu to zaraz komendant był u mnie w domu. Na szczęście znał moją siostrę, którą poznał w Koenigsbergu więc zaraz postawiłem pół litra a ja marynarkę na plecy i dyla przez okno. W 1947 ożeniłem się. Pracowałem w Lubsku, Żaganii, na tych Ziemiach Odzyskanych. Jak już zaczęli wypuszczać z więzień akowców to wyciąłem do Supraśla. Tu była drużyna piłkarska, w której grałem. To milicja białostocka zabierała całą drużynę do siebie i wszystkim proponowała wstąpienie do partii ale nikt nie dał się namówić. W wojsku cały czas namawiali do partii to samo w pracy: zapisz się do partii to majstrem będziesz. Nigdy nie było żad-

nych podwyżek. Pijak zawsze dostawał więcej ode mnie. Wystarczyło, że był w partii. Jak poszedłem do szpitala na operację, to odmówił zakład przyznania zapomogi, a było nam w tym czasie ciężko, bo jeden syn był na studiach a drugi w szkole. To żonie powiedzieli, że znając moją sytuację zapomoga nie należy się, a przecież nawet nie zapytali się mnie. W domu też nikt od nich nie był. Na szczęście syn skończył studia bez pomocy partii i ~~dzisiaj~~ jeden i drugi nigdy do niej nie należeli.

Przed Rafałówką był sowiecki punkt łączności. No i mnie kazał dowódca obstawić ten punkt i pilnować, żeby sowieci nie wyszli na zewnątrz. Do pomocy dostałem erkaemistę i jeszcze jednego żołnierza. Było już ciemno. Reszta oddziału poszła na kolację do wsi. To było jeszcze za "Groma". Ale od nas niektórzy byli cwani i zostali z tyłu za nami. No i jeden z tych Sowietów wybiera się, żeby iść. Ubrał się, wziął Pepeszę i wychodzi. Mówię do erkaemisty: Strzelaj!. - Ten, ku memu zaskoczeniu, rozpłakał się i mówi: Nie będę strzelał. No to ja musiałem strzelać z tego "diegtiarowa". Raz i drugi poprawiłem. Nie chodziło mi o to, żeby go trafić. ~~Chyba~~ Strzelałem obok niego. Chciałem go tylko zmusić, żeby wycofał się do środka, ale ten sieje z Pepeszy dookoła po nas. Na szczęście leżałem w takim dole i czekam co to będzie, ale słyszę już tam strzał, tam strzał. Chłopaki zaczynają strzelać i ten Sowiet w końcu ucichł. Wycofałem się ^{te chłopcy za mną} czym prędzej a ~~ten chłopak~~ erkaemista ~~xxx~~ przychodzi bez erkaemu. Nazywa się Arciszewski ~~Kazimierz~~. Jego brat Kazimierz, który był drużynowym skoczył do mnie zaraz, że ja za to odpowiadam. No to jak to - odpowiadam - ja przecież mam swoją broń, nie a wycofać się musiałem, bo nie było rady. Drużynowy był jednak nieubłagany: Iść w tej chwili i przynieść erkaem. - No i wszyscy trzej poszliśmy wtedy i przynieśliśmy ten erkaem. No tak

było mi wtedy przykro, że on zostawił broń, a ja musiałem po nią iść. Starszy Arciszewski miał pseudonim "Orzeł". On był dowódcą drużyny u "Groma". Było to pewnie w połowie czerwca, jak jeszcze żył.

"Grom" zginął w gajówce Stary Majdan. Dzień wcześniej z gajówki Izoby do Starego Majdanu jechała sowiecka ciężarówka, a na drodze koło Starego Majdanu był wystawiony posterunek z erkaemem i pociągęli serię po kołach. Ciężarówka jednak uciekła. No i już wieczorem mieliśmy wycofać się z tego miejsca ze względu na jego dekonspirację no i nie wiem dlaczego zatrzymali nas jeszcze przez noc na tym miejscu. Prawie całe dowództwo spało w gajówce a reszta oddziału była oddalona mniej więcej kilometr nad rzeczką. Spaliśmy w szałasach, bo namiotów wtedy nie mieliśmy, albo pod drzewami spaliśmy niczym nie osłonięci.

Razem z "Gromem" było dwóch ~~oficerów~~, a "Sęp" był z nami. Gdy stałem na warcie Jasia Roszkowska przyprowadziła wówczas łącznika od "Bohuna". Wtedy kazali mi wziąć dwa koce, które były ukryte w ulu i dać dla tych co przyjechali do nas - Jasi i łącznika. Raniutko, o godz. 3-ej miałem je odnieść, bo będziemy uciekać stąd. No i słońce wschodzi już, niosę te koce do gajówki, miałem może ze 200 metrów, gdy nagle ciszę przerwały dwie serie: prrr, prrr. Zatrzymałem się i myślę: Co robić? Iść, nie iść? Iść, nie iść? - Pomaleńku, kroczek za kroczkiem ruszyłem jednak przed siebie. Wszedłem z lasu i zbliżyłem się do gajówki. Patrząc na ganku leży z przestrzeloną piersią dowódca. Wtedy usłyszałem płacz żony gajowego. Oddałem te koce, popatrzyłem i z powrotem wróciłem do oddziału. Wtedy sowieci napadli na nas i chyba wielu chłopaków, których nie znałem, zabrali. Np. takiego Zieniewicza, co zmarł, Kozłowskiego, potem taki jeden z Częstochowy. Sowietci

uderzyli na nas w kilka godzin po ~~naszym~~ moim powrocie, gdy jeszcze tkwiliśmy na starym miejscu. Stałem wtedy na warcie rozmowy. Jeden do drugiego krzyczał: wańka pagib. i gdy usłyszałem Sowietów zdziwiłem się, że nikt od nas nie ostrzeliwał się. Wycofałem się więc do obozu, zaleciałem do Góry i zacząłem strzelać do tych Sowietów. Nareszcie odezwał się nasz karabin maszynowy. Dowodzenie oddziałem przejął prawdopodobnie "Murat", który w tym czasie już był w oddziale. Był też jeszcze jeden porucznik z Zabłudowia, ale ten był spokojny.

Ja do oddziału trafiłem w kwietniu. "Grom" nie bardzo był lubiany w oddziale, gdyż tak jak on powiedział, tak musiało być. Był spokojny, cichy ale był zdecydowany. Jak chłopaki wracali z akcji to czasami gdzieś skombinowali coś do picia i wtedy siadali sobie gdzieś w krzaczkach i popijali, a potem kładli się spać, ale żeby się walali, to tak nie było. Zawsze robili to po cichu. "Grom" chyba tego nie widział. "Gdy "Grom" zginął nikt nie wiedział kto to zrobił. Mówiono, że może to jego brat albo kto inny jeszcze. Miałem jego płaszcz francuski, który mi dał i żałowałem go, bo został w obozie, gdy uciekaliśmy przed Sowietami tego dnia. "Grom" miał zresztą cały mundur francuski. Furażerkę również. Przepadł wtedy również koń, fura z bronią i amunicją. Stamtąd wycofaliśmy się pod Zubrownię, na błota. W końcu przyszło rozwiązanie oddziału na rozkaz z Londynu, bo wszystkich nas wybija. "Murat" rozpuścił oddział w jakiś parę dni potem. Dużo chłopaków wówczas odeszło z oddziału. Ja również, z tym, że miałem łączność z oddziałem. Częściowe rozwiązanie nastąpiło na błotach koło Zubrowni. A potem "Murat" znalazł się tutaj, na Starym Majdanie, bo pamiętam, że to była niedziela, godzina 9 rano gdy przybiegł do mnie łącznik z wiadomością, że jest tu "Murat" i dwie fury aż spod Janowa i żeby przeprowadzić ich na Stary Majdan w nocy, żeby zabrać to co jeszcze tam

zostało po naszej ucieczce - maszyny do pisania itp. Zaprowadziłem więc tych furmanów na miejsce, przenocowaliśmy tam, załadowaliśmy wszystko na fury i pokazałem im drogę, którą mają jechać zaś "Murata", "Baka" /Kędys/ i jeszcze jednego przeprowadziłem przez las i rzekę do Jałówki. Tam spotkaliśmy się z tymi furami, które czekały na nas. Tam były jeszcze takie inne numery, o których nie chcę mówić. Były to likwidacje.

Pamiętam, że jedną rodzinę całą zlikwidowano, bo synowie krzyżowali na zebraniach, że my tych ^{x leśnych} szczurów ~~xxlxxx~~ wyciągniemy z lasu. Do wykonywania takich wyroków nigdy nie wyznaczano ludzi. Sami zgłaszali się na ochotnika. Takich nigdy nie brakowało. Nie zdarzyło się tu, żeby sąsiad doniósł na sąsiada po złości. Wyroki wykonywane były za sprawy polityczne.

Jak przyszli sowieci to w 1940 r. poszedłem do pracy. Jako, że nie miałem wtedy jeszcze pełnych lat to wzięli mnie do sprzątania placu, potem wzięli do fabryki - do środka. Zbierałem od tkaczy odpady do torebek i to miałem ważyć i sortować ile kto miał odpadów. W ten sposób sprawdzali tkacza i potracali mu za to pieniądze. Gdy przyszli Niemcy to zaraz pojechałem na roboty do Niemiec. 5 października 1941 r. Wywieźli mnie 3 km za Iławę. Było tam już strasznie dużo niewolników z różnych państw. Było tam dość dobrze, bo za ~~prze~~ żywność można było dostać od nich koce, z których szyło się kurtki. ~~Praca~~ Praca to była ciężka, bo była przy krowach. Wstawać to trzeba było już o 3-ej, jeśli to ~~było~~ było lato, i iść na łąki doić krowy. Zimą wstawano się o 5-ej. W dzień były tylko dwie przerwy na obiad i pracowało się do zmierzchu. Doiliśmy dwie godziny po 17 krów na raz. Potem wywoziliśmy nawóz, to koniem wjeżdżało się do środka i nawozu wrzucało się wtedy dużo. Z 10 m wysoko. Potem trzeba było nakar-

mić to bydło.

Gdy w początkach 1944 r. zaczęły się naloty postanowiłem uciec~~szix~~. Od Niemca kupiłem garnitur, który był na niego już za mały. Nauczyłem się też w tym czasie niemieckiego tak, że byłem w miarę przygotowany do ucieczki. Nie miałem żadnych kłopotów, gdy kupowałem bilet na stacji i gdy wchodziłem na peron. Do Kętrzyna dojechałem pociągiem a dalej już pieszo. Gdy wyszedłem tylko z Letzen - ~~xx~~ dzisiejsze Giżycko - natknąłem się na Niemca z psem. Wo gehst du? - spytał się mnie. Dort - odpowiedziałem. Wie heist? - chodziło mu o nazwisko, tego co ja do niego niby idę. - Schultz - powiedziałem. Kom mit - rozkazał. Niedobrze-pomyślałem sobie, ale jakieś 100 m dalej był las sosnowy, więc gdy ten Niemiec wchodził w bramkę rzuciłem się biegiem do tego lasu. Niemiec ~~wydzik~~ krzyknął na psa i już po chwili ten ~~u~~ chwycił mnie za nogawkę spodni. Upadłem na ziemię. Byłem już dosyć słaby ze zmęczenia. Tak padałem i podnosiłem się jeszcze dwa razy zanim dotarłem do zbawczego lasu. To jednak nie był jeszcze koniec ^{le}wrażeń. Nie zdążyłem się jeszcze ~~wykopaćxxxxx~~ skryć między drzewami, gdy na motocyklu nadjechał kolejny Niemiec, który zobaczywszy mnie rzucił maszynę i pobiegł za mną. Nie oglądając się już za siebie pognałem przez las, potem zboże aż skryłem się w jakiejś stodole. Słyszałem jak gdzieś niedaleko idzie obława. Wszędzie chodzili z psami, strzelali po życie. Nocą wymknąłem się stamtąd. Wodę to piłem z liści krzewów. Żółta jeszcze była. Jako pożywienie służyło mi wyłącznie mleko, które piłem prosto od krów, dojąc je na łąkach, gdyż tam w przeciwieństwie do nas ~~krów~~ wiosną i latem krów nie zapędzano do obór. Zmęczony byłem tak, że gdybym usiadł to już bym nie wstał. Koło Rucianego dotarłem do granicy. Znowu miałem problem. Miałem do przebycia

most i nie wiedziałem czy jest strzeżony. Czekając i myśląc: Co robić?, co robić?. w końcu zaryzykowałem i biegiem pokonałem most i skryłem się w pobliskim lesie. Idąc leśną drogą spotkałem ludzi jadących na furze. Po literze P, którą mieli przyczepioną poznałem, że to Polacy. Byli z nimi również i Niemcy. Spytalem się: Jak daleko do granicy? - O, tą drogą - pokazał mi jeden z nich - niedaleko. I rzeczywiście. Od razu poznałem, że jestem w Polsce. Skierowałem się do pierwszego gospodarstwa. Krówki były tu zabiedzone, nie to co w Niemczech. Stałem i przyglądałem się na gospodarza a on na mnie. W końcu pytam się go, czy dałby mi coś jeść. Poczęstował mnie. Wypytał co i jak. Przenocował mnie i następnego dnia rano zabrałem się z jednym chłopem, który jechał furą do Łomży. Po drodze też miałem szczęście, bo natknęliśmy się na Niemców, którzy przeszukiwali jakiś dom szukając winnych śmierci swego ziomka, ale ci tylko popatrzyli na nas - nakryty byłem workiem, bo mżawka była - i przepuścili dalej. No, jakby tak teraz Niemcy mnie wzięli, koniec byłby ze mną - myślałem sobie.

Gdy wróciłem z "lasu" do domu niedługo miałem spokój. Pojawili się sowieci. Gdy zaczęli dobijać się do drzwi wyjrzałem z mego pokoju przez okno wychodzące na ulicę. Chodnikiem spacerował żołnierz. Przez ramię miał przewieszony karabin. Nie wiem jak mi się udało, ale nie zauważył, że wychodzę przez okno. Nie uciekałem. Zakryłem się tylko bramką i stałem. Gdy poszli, wróciłem do domu i wtedy dowiedziałem się, że każdego po imieniu pytali, gdzie jest. Szukali mnie. Następnym razem przyszli niedługo potem, - w styczniu następnego roku. Mróz był wtedy straszny - 30 stopni. Leżałem w łóżku, gdy zaczęli się dobijać do drzwi. Synu, to po ciebie przyszli - powiedziała matka - chowaj się pod łóżko. - No to co, pod łóżkiem mnie nie znajdą - odpo-

wiedziałem i dalej leżałem w łóżku. weszło ich kilku w granatowych mundurach. Na czapkach mieli granatowe otoki. Imię - wskazał sowiet na mnie. Karol - odpowiedziałem. wstawaj - rozkazał. Matka zaczęła płakać. Przygotowała dla mnie węzełek z jedzeniem. Jeden z nich widząc, że matka płacze podszedł do niej i mówi: Ty mamasza nie siedzisz, tak synok twój siejczas wróci, tylko na waszu milicju zaprowadzim. - No zaprowadzili mnie, ale nie na naszą milicję, tylko na swoją. Posadzili mnie w kątku, dołączyli jeszcze jednego chłopaka i zawieźli gazikiem do Białegostoku na Branickiego, do aresztu. I trzy razy dziennie na badania wzywali, ale nie bili. Najwięcej to dopytywali się mnie o życiorys. wiedzieli już, że byłem w oddziale. Ktoś pewnie doniósł. Potem przenieśli mnie do innego aresztu na Branickiego, tak małego, że można było tylko stać na kolanach, albo ~~wiedziak~~ stać schylnym. Było nas tam z 50-ciu. Dużo było Sowieckich dezertarów. Trzymali mnie tu ze dwa tygodnie. Tu skakał do mnie okropnie kapitan. widać było, że to Żyd. Stamtąd zabrali mnie do więzienia. Tu już było lżej.

Przesłuchanie to wyglądało w ten sposób, że cały czas bito mnie i chciano zmusić, żebym przyznał się, że należę do bandy. To co ja miałem się przyznawać, Cały czas mówiłem, że nie i nie. Też trzy razy dziennie brali na przesłuchania. Ciągłe ten sam kapitan - Żyd przesłuchiwał mnie. W nocie nie ruszali mnie. W więzieniu już nie bili. Klawisze zachowywali się spokojnie. No i po ostatnim badaniu zaprowadzili mnie pod karabinem do RKU i zarejestrowali do wojska. Trafiłem początkowo do 14 Dywizjonu Artylerii Przeciwpancernej w Zarach aż pod niemiecką granicą, za Zaganiem. Żebym miał jak najdalej do domu. Stamtąd ~~prze-~~prze- rzudli mnie do ~~92 p.p.panc. w Bolesławcu~~ 92 p.art.ppanc. w Bolesławcu.

Odsłużyłem całe dwa lata. Dwa razy byłem brany na przesłuchanie przez politycznego. Wypytywał mnie jakie partyzantki tu były, jakie oddziały były, czy byłem w jednym z nich. Odpowiedziałem, że nie, że nigdzie nie byłem i dał mi spokój. Na odprawie to polityczny mówił, że: Nam bandyci nie potrzebni w wojsku. To jakim sposobem wy mnie wzięli - pomyślałem sobie.

Trochę za odważnym byłem w tym wojsku. To było po roku czasu, na 1 maja. Podchodzi do mnie plutonowy i przy całym kompanii mówi: Soroka, dostaniecie belkę jedną. - A po co ona mnie potrzebna - mówię - Ja chcę odsłużyć dwa lata i do widzenia. Nic nie chcę od was. - I pewnie zameldował o tym, bo polityczny mnie zwał na rozmowę. W efekcie nie dostałem tej belki.

Przy mnie właśnie zlikwidowali modlitwy. Gdy chłopaki nadal jednak modlili się przyszedł szef kompanii i mówi: Chłopaki, wy mnie chcecie do więzienia wsadzić. To nie ode mnie zależy, że zlikwidowano modlitwę - Do tej pory to odmawialiśmy ją całym oddziałem, po uprzednim wystąpieniu tych, którzy nie modlili się Skoszarowani byliśmy działonami. Działon to była obsługa jednego działka - 7-8 osób.

Polityczni to cały czas nas okłamywali. Mówili np., że Ameryka sama przepadnie, nie trzeba będzie jej bić, bo nikt nie będzie chciał z nią handlować, wtedy dolary tak stracą na wartości, że będziemy mogli nimi tapetować ściany w domach. Ubrani będziemy wszyscy jednakowo. Pieniądzy nie będzie, bo kto będzie coś potrzebował, to pójdzie do sklepu i weźmie sobie. Wszyscy ludzie będą świadomi tego, że trzeba iść do pracy, ale nikt nie będzie ganiał.

W 1948 r. wszystkich oficerów przedwojennych zwolnili z wojska. Naszego dowódcę również. Komunistyczni oficerowie to przede wszystkim politycznymi byli. Ci przedwojenni to tacy energiczni byli

li, natomiast polityczni to zawsze raczej łagodnie w stosunku do nas zachowywali się, próbowali nas podchodzić, żeby przekonać do swojej ideologii, natomiast nasi byli bardziej tacy: co to ja. Było sporo partyjniaków. Niektórzy oficerowie to byli tacy, że jakbym spotkał takiego w cywilu to obsikać ^{go} bym nie chciał. W jednostce było bardzo dużo donosicieli, tak, że cały czas trzeba było się pilnować, żeby czegoś nie palnąć. Właśnie komunistom zależało, żeby namawiając żołnierza na współpracę wiedzieć o wszystkim, co się mówi. Jak mówili: Nam żołnierz nie potrzebny po to, żeby uczyć go strzelać, tylko po to, żeby wychować ^{naszym} go w duchu, a gdy będzie wiedział o co walczy to i strzelać się nauczy.

Wszystkie komunistyczne święta obchodzono uroczystie. wydawano wtedy wódkę. W naszym, żołnierskim kasynie sprzedawano natomiast cały czas wino, które można było kupić bez trudności. Mój kolega ~~sprzedawał~~ pracował w tym kasynie. Gdy spotkałem go pierwszy raz dał mi butelkę wina na dobry początek. Zaniósłem ją więc na działkę. Chłopaki mówią więc: Daj, wypijemy. - No i dwóch chłopaków wypilo to winą kryjąc się gdzieś za samochodem. Ja nie piłem, bo w ogóle nie piłem alkoholu. Papierosy tylko paliłem. I chyba jakiś oficer zauważył, jak oni pili to wino i każdy dostał po trzy dni aresztu. To moja wina - pomyślałem sobie.

Z wojska wyszedłem w 1949 r. Oczywiście namawiali mnie, bym wstąpił do milicji, ale nie dałem się. Jeszcze po pierwszym roku służby to gorąco namawiali mnie, żebym poszedł na szkołę oficerską. Wzięło mnie pięciu oficerów, każdy przy innym stoliku i złumaczyli mi jak to przed wojną nawet walizki nie mieli, a teraz o proszę: jest i walizka i mieszkanie i wszystko, ale

nie chciałem. Trzymałem się twardo.

Najbardziej zadziwiająca w tym wszystkim jest to, że UB nie zorientowało się, że ja już raz byłem w wojsku, tylko uciekłem z niego. Jak przyszli komuniści to zgłosiłem się na ochotnika do wojska. Wydawało mi się, że to będzie wojsko podobne do tego, które było przed wojną. Gdy jednak zorientowałem się jakie tam panują porządki zdezerterowałem po miesiącu i już w październiku byłem w domu, a w kwietniu następnego roku poszedłem do lasu.

Gdy już wróciłem do domu z lasu to miał miejsce taki wypadek. Miałem cały czas kontakt z "Bąkiem", który był z Lewickich - kolonia, koło Teolina. Tam wszyscy należeli do organizacji. Mieli broń. I pewnego razu musiałem przeprowadzić "Bąka" do Supraśla. Z Lewickich wyszliśmy w dzień a tu byliśmy już nocą. No i zauważyliśmy, że ~~w naszym kierunku~~ z tyłu nadjeżdża dwóch rowerzystów. Krzyknęli do nas: Stać! - No ale my nie zwracamy na nich uwagi i idziemy dalej. Staaać! Staaać! - zaczęli się wydierać. Jeden z nich wyjął pistolet a drugi podszedł do nas i łup "Bąka" w zęby. Ten upadł ~~z~~ i następnie ja zarobiłem w zęby. Tamci wsiedli na rowery i odjechali. Jak powiedzieli na odchodnym: Nie są w kontakcie z takimi skowcami. - Nie wiem o co im chodziło, co przez to rozumieli. Byli to wiN-owcy. Poznałem ich. Myśmy byli w tej gorszej sytuacji, że nie mieliśmy broni.

Pamiętam jak poszliśmy na zgrupowanie oddziałów mjr. "Jerzego". Obóz był na Wyspie Konrada. Otoczona była ona ze wszystkich stron przez bagna. Tylko z jednej strony można było dojść do obozu wąską ścieżką. Jak jakiś oddział wracał do obozu to ciągnął za sobą jedlinę dla zatarcia śladów. Por. "Jurand" to był chyba prokuratorem. Cały czas siedział i ciągle coś pisał na maszynie.

W oddziale "Groma" było nas około 100. Więcej dowódca już nie chciał przyjmować

chciał przyjmować i wszystkich chętnych kierował do mjr. "Jerzego". Szczególnie dużo ~~wychodzących~~ zgłaszało się do nas dezert-rów z wojska. Byli też oficerowie. Gdzieś właśnie w czasie naszego tam pobytu jeden z naszych oddziałów rozbroił pododdział kościuszkowców, którzy przyjechali do wsi po drzewo. To było gdzieś pod Katrynką. Chyba większość żołnierzy została u nas na ochotnika. Tylko dowódcę musiano wziąć do niewoli. Dostał w łeb, za to, że kazał strzelać i jego żołnierze strzelali. Byłem przy tym jak ~~wyxx~~ nasz oddział wychodził na ^{te} akcję. Wzięli ze sobą więcej broni maszynowej. Potem widziałem jak wracali. Tylko dowódca kościuszkowców szedł ze związanymi z tyłu rękami, w których ~~niósł~~ niósł skrzynkę amunicji. Posadzili go na pieńku i pytają: Żyd. - Nie - pokręcił głową. A oni już wiedzieli, bo dużo chłopaków, którzy byli w wojsku w Białymstoku to na noc przychodzili do obozu i nad ranem wracali do jednostki, tak, że dowództwo wiedziało o wszystkim dokładnie. Wiedzieli o której godzinie i kiedy przyjedzie jakiś oddział.

W tym obozie to potem byliśmy jeszcze raz. Żadnych zadań jednak nie wykonywaliśmy. Pełniliśmy tylko służby wartownicze. Major był w sukiennym mundurze i rogatywce oraz w żółtych butach. Podobne były do niemieckich. Były z cholewami. Nie miał dystynkcji, bo u nas nie noszono ich. Nie było też więc oddawania honorów. Słyszałem, że z Czarnej Wsi przychodził ksiądz, ale nie odprawiał mszy św. Do naszego oddziału jednak nie przychodził. Na zgrupowaniu nie byliśmy dłużej jak kilka dni. Operowaliśmy na południowym skraju Puszczy Knyszyńskiej bo to chyba było tak wyznaczone przez dowództwo. Nie słyszałem o tym, byśmy mieli tam czekać na zrzuty.

W oddziale byłem jakby dowódcą sekcji w drużynie "Orła". Często wysyłał mnie, przydzielając mi do pomocy jeszcze dwóch ~~in~~

żołnierzy - nie zawsze musieli to być ci sami.

Spisał: Jerzy Kułak.